

Wietnam - kraj dumny, piękny i dynamiczny

Sa Pa i północny Wietnam



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Wietnam - kraj dumny, piękny i dynamiczny.

Opracowanie: Krzysztof Danielewicz, 18.08.2022 r.

Część III - Sa Pa i Północny Wietnam

Dzień 5 (1.05.2022) – wyjazd na północ do Sa Pa

1 maja, tj. dzień wyjazdu do Sa Pa, zaczął się trochę nerwowo. Kiedy poszedłem na śniadanie zgodnie z umową, okazało się, że jeszcze nie jest gotowe, ale szybko przygotowano dla mnie pakiet na wynos. Kiedy z kolei zszedłem chwilę po godz. 6 rano do recepcji, okazało się, że nie można zamówić taksówki, ponieważ nikt nie odbiera telefonu. Ostatecznie na skuterze dowiózł mnie na przystanek autobusowy jeden z pracowników, co wcale nie było przyjemne ze względu na padający deszcz. Okazało się też, że nie do końca potrafi on odnaleźć mój autobus. Chwilę pokrążyliśmy i w końcu znalazłem autobus. Przed autobusem pomocnik kierowcy odnalazł mnie na liście, wskazał kabinę i kazał zdjąć buty. Okazało się, że w autobusie chodzimy na bosy, co nie było wcale dziwne, zważywszy na to, że był to autobus składający się z piętrowych kabin (na zdjęciu). W kabinie był pilot, którym można było sterować systemem masażu pleców. Kabina była wystarczająca dla mnie i miała długość dokładnie 175 cm, bo kiedy się wyprostowałem, to sięgałem nogami i głową jej skrajnych części. Gdybym był wysokim facetem, z całą pewnością sześciogodzinna podróż nie należałaby do przyjemności.

Po drodze mieliśmy dwa przystanki po 20 min. na toaletę i posiłek. Przystanki miały miejsce w specjalnie przystosowanych zajezdniach, gdzie były stoiska z jedzeniem, małe targowisko i toaleta. Widać było, że system wspaniale funkcjonuje. Ciekawostka była taka, że po zatrzymaniu się danego autobusu ktoś z obsługi podsuwał po drzwi koszyk z klapkami do chodzenia. Oczywiście ja ze względów higienicznych zakładałem swoje „supersandały”.

W trakcie podróży, kiedy już trochę pospałem, zacząłem podziwiać przepiękne górskie widoki, od których trudno było oderwać wzrok. Miałem ochotę wysiąść z autobusu na jakimś lokalnym przystanku i iść w teren. Większość czasu autobus jechał płatnymi drogami bardzo dobrej jakości. Po dojechaniu do Sa Pa doznałem szoku. Przepiękny nowoczesny kurort, po ulicach którego chodziły tysiące turystów, głównie – jak to sami lokalni mieszkańcy mówią – ludzie

Hanoi. Były to ogromne tłumy i, podobnie jak nasi miejscy turyści, ubrani na „ładnie” w pantofelkach i jeżdżący lokalnymi samochodami dla turystów bez dachu.



foto. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 1. Autor na tle autobusu w trakcie postoju na dworcu autobusowym.



foto. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 2. Widok na centrum Sa Pa.

Na szczęście ja miałem zarezerwowany hotel w jakiejś wsi kilka kilometrów poza Sa Pa. Kiedy opuściłem autobus, już czekały ubrane w lokalne stroje kobiety tzw. łowcy turystów, dokładnie tak samo jak w Zakopanem. Mówiły bardzo dobrym angielskim, więc nie było problemu z komunikacją. Obiecały zabrać do swojej wsi i pokazać okolice. Wymieniłem grzeczności i zamówiłem kawę w pierwszej kawiarni. Napisałem do właścicielki hotelu, gdzie jestem, wysłałem zdjęcie kawiarni i poprosiłem o sprawdzoną taksówkę, której właściciel będzie wiedział, gdzie ma mnie zawieźć. Zresztą takie rozwiązanie sugerowała sama właścicielka. Po ok. 15 min. przybył kierowca, który w telefonie miał moje nazwisko i pojechaliśmy do hotelu. Po drodze zauważyłem, że zostawiłem w autobusie stojak pod aparat fotograficzny.



Zdjęcie 3. Widok na jezioro w centrum Sa Pa.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, kierowca skasował 200 tys. dongów, czyli ok. 40 zł i wskazał ścieżkę, którą mam dojść. Z daleka było widać małe domki na palach, zgodnie z tym, co prezentował Booking. Na miejscu czekał na mnie mąż właścicielki Loi, z którym dopełniłem formalności. Szybki prysznic i wymarsz na pierwsze rozpoznanie. Piękna wieś, osadzona na pagórkowatym terenie, wszystko pięknie zadbane i aż trudno uwierzyć, że to wieś w Wietnamie. Wszędzie było widać wielu turystów, z tym wielu o innych niż wietnamskie rysy twarzy. Po jakim czasie zlokalizowałem salon masażu, który musiałem sobie zafundować. Najpierw była kąpiel w drewnianej bani napełnionej czarną wodą, a potem masaż. Niestety masaż był słaby, a obok masowany był Wietnamczyk, któremu usta prawie się nie zamykały...

Wieczorem kolacja i spać, bo kolejnego dnia planowany był pierwszy trekking z lokalną przewodniczką Mimi.



Zdjęcie 4. Domek, w którym autor spędził cztery dni, w trakcie pobytu na północy Wietnamu.



Zdjęcie 5. Widok na wieś Ta Van, w której przebywał autor.

Dzień 6 (2.05.2022) – pierwsze wyjście z Mimi i lokalne swaty

Rano o godz. 8.15 zjadłem śniadanie: potrawę składającą się z różnego rodzaju ryżu. W smaku była średnia, ale dało się zjeść. Posiłek był bardzo energetyczny i dobrze, ponieważ o godz. 9 miała pojawić się moja przewodniczka Mimi. Po przywitaniu się i przedstawieniu punktualnie o godz. 9 wyszliśmy w teren. Od razu po opuszczeniu hotelu trasa przebiegała pod górę i to przez prawie godzinę. Było bardzo stromo, droga prawie zarośnięta i dosyć śliska, ponieważ w nocy dosyć mocno padało. Po drodze spotkaliśmy starszą kobietę z koszem, która szła tą samą trasą ze swoją wnuczką.



Zdjęcie 6. Napotkana przedstawicielka Czarnych Hmongów w trakcie wycieczki pierwszego dnia.

Po drodze miałem okazję podziwiać piękne widoki na pola tarasowe oraz fragmenty lasu bambusowego, co bardzo mnie interesowało. Pamiętam, że jako mały chłopiec zawsze chciałem mieć wędkę z bambusa, który w tamtym czasie był bardzo drogi. Więc teraz widząc, że tu bambus rośnie praktycznie wszędzie i dorasta do pokaźnych rozmiarów, nie traćłem szans na obserwacje.



fot. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 7. Las bambusowy.



fot. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 8. Typowy górski dom w rejonie Sa Pa.

Po wejściu na zaplanowane wzniesienie trasa była już dużo przyjemniejsza i łagodniejsza. Po drodze spotkaliśmy pierwsze gospodarstwo, które obfotografowałem, jakbym już nie miał zobaczyć żadnego innego. Droga była bardzo wąska, chwilami wybetonowana. Oczywiście im wyżej, tym widoki ciekawsze i perspektywa piękniejsza. Po jakimś czasie doszliśmy do wsi, gdzie odwiedziliśmy znajomych Mimi. Od razu zapowiedziała, że będę mógł robić bez problemu zdjęcie w środku. Po wejściu i przywitaniu się mogłem obejrzeć wszystko od wewnątrz. Jak się okazało później, typowy dom rolników z tego rejonu, który składał się z głównej centralnej izby, służącej jako jadalnia.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 9. Nasi gospodarze.

Na prawo było miejsce na ognisko i jedno łóżko, na którym leżała podobno 110-letnia babcia, a na lewo pomieszczenie, które było swego rodzaju kuchnią. Dodatkowo było wejście na strych, który służył za magazyn. Poza tym, że wszystko było bardzo stare i tradycyjne, to wokół panował ład i porządek. Nie było czuć żadnych przykrych zapachów, np. spowodowanych bliskością zwierząt. Kiedy weszliśmy do środka, poza babcią był gospodarz, jego żona i sąsiad. Bardzo szybko zostałem zaproszony do wspólnego spożywania lokalnego samogonu z ryżu, który mi smakował i, jak na polskie warunki, nie wydawał się być zbyt mocny.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 10. Budowanie relacji.

W miarę upływu czasu przybywało coraz więcej osób i impreza... się rozkręcała. Goście co rusz wychodzili i wracali, cały czas dyskutując. Okazało się po jakimś czasie, że był to moment przeprowadzania rozmów na temat wydania za mąż 16-letniej córki gospodarzy, która także była w domu. Widziałem także jej potencjalnego męża, który siedział wyraźnie z boku, bardzo nieśmiały i trzymał w ręku telefon komórkowy.

Ustaliłem, że jeżeli kawalerowi zależy na córce, to musi jeszcze poczekać jakiś czas. I tu nie zrozumiałem: czy 2 miesiące, czy 2 lata. Okazuje się, że w tamtej kulturze dziewczyna po zamążpójściu przenosi się do domu pana młodego. Po ślubie automatycznie dostaje wiele

obowiązków, nie tylko domowych, ale i gospodarczych. Pozostając w domu rodzinnym, obowiązki dzieli z matką i rodzeństwem. Wesele u Czarnych Hmongów trwa dwa dni, z czego pierwszy dzień u pani młodej, a drugi u pana młodego. W tym czasie młodzi odwiedzani są przez sąsiadów i rodzinę – oczywiście muszą wtedy ich nakarmić i napić alkoholem. Ciekawostka jest taka, że w typowym domu samogon z ryżu produkuje się w nowy rok w ilości ok. 100 litrów, co ma starczyć na cały rok.



foto. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 11. Najsmaczniejsza słonina jaką miałem okazje jeść.

Po jakimś czasie (może godzinie) gospodarze zaczęli przygotowywać obiad. Wrzucali do stalowej miski na ognisku warzywa, duże kawałki słoniny, pokrojone ziemniaki, kurczaka czy ryż. Poza prymitywnym sposobem ich przygotowywania wszystko wyglądało dosyć smacznie. Zapytałem mojej przewodniczki, czy nie powinniśmy już iść i czy nie przeszkadzamy, stwierdziła, że nie i że mamy zaproszenie na obiad. Kiedy obiad był już przygotowany, wszyscy usiedliśmy do stołu na bardzo niskich taboretach (ok. 15 cm wysokości) i przystąpiliśmy do konsumpcji. Smakowało mi wszystko, ale najbardziej duże kawałki słoniny z małymi fragmentami mięsa – były wręcz rewelacyjne. Prawdopodobnie przygotowane z czarnej świnki wietnamskiej, której mięso podobno nie zawiera cholesterolu.

Po około trzech godzinach, lekko zmęczony, opuściłem imprezkę, pożegnałem się z gospodarzami, dziękując za gościnę. Zostawiłem też 200 tys. dongów w ramach podziękowania. Wcześniej włączył mi się tryb kupiecki i kupiłem kompletny strój Czarnych Hmongów zarówno męski, jak i żeński. Myślę, że mogę być obecnie w Polsce jedynym posiadaczem takiego zestawu. Oczywiście zależało mi na całkowicie oryginalnym zestawie, więc jak łatwo sobie to wyobrazić, wymagają one prania. Przy okazji kupiłem od jednej z pań grzebień ozdobny oraz bransoletkę.



Zdjęcie 12. Widoki na góry i pola ryżowe.

Po powrocie miałem jeszcze długą rozmowę z moim gospodarzem Loi, wymieniliśmy się mediami społecznościowymi i danymi kontaktowymi. Mój gospodarz wspólnie z żoną ma także drugi hotel w Sa Pa o nazwie Hunter. Na Bookingu mają bardzo wysokie oceny i są one w pełni zasłużone. Bardzo dbają o wszystkie potrzeby gości i robią to w sposób bardzo naturalny, a nie natarczywy. Podsumowując, muszę napisać, że był to jeden z najciekawszych dni w moim życiu. Bliskość obcych nam kultur wpływa bardzo „odżywczo” na mój mózg. Loi stwierdził, że jestem pierwszym turystą, który jadł obiad z lokalnymi mieszkańcami, był w dużym szoku.

Dzień 7 (3.05.2022) – drugie wyjście z Mimi i odwiedziny w jej domu

Drugiego dnia postanowiłem wyjść w teren z Mimi dużo wcześniej, bo o godz. 8 rano, wiedząc, że mogą mi się przydarzyć różne nieoczekiwane spotkania i przygody. Spakowałem jedno piwko na drogę oraz dwie butelki wody mineralnej. Pogoda zapowiadała się dużo ciekawiej, w nocy nie padało, więc i trasa była dużo lepsza. Dodatkowo Mimi powiedziała, że dzisiaj aż tak stromo nie pójdziemy. Po drodze pokazała mi lokalną bimbrownię przy ulicy, gdzie akurat szła produkcja. Bez problemu miałem okazję spróbować jeszcze gorącego płynu i kupiłem na użytek własny pół litra. Ceny nie pamiętam, ale była to nie duża kwota.



Zdjęcie 13. Lokalny zestaw do pędzenia bimbru ryżowego.

Następnie weszliśmy w las bambusowy i szliśmy wąską ścieżką, którą chodziły także bawoły, przez co jej jakość była bardzo słaba. Musiałem także uważać, aby asekurować się, nie dotykać młodych bambusów, ponieważ były całe pokryte kłującymi igiełkami. Niestety raz to zrobiłem i nie było to przyjemne doświadczenie. Na szczęście dało się je sprawnie usunąć. Kiedy wyszliśmy z lasu, weszliśmy na wysokie zbocze, skąd rozpościerał się przepiękny widok na dolinę. Nieco niżej pasło się kilka sztuk wietnamskich bawołów, na tle zielonych już poletek ryżu. Zaproponowałem zejście w tym kierunku i zrobiliśmy sobie przerwę, podziwiając widoki. Widok był dość ciekawy, ponieważ osoby pilnujące zwierząt osłaniały się parasolkami od słońca. Proszę sobie więc wyobrazić cudowny widok kobiety z parasolką, usuwającej insekty ze skóry śpiącej i w pełni ufającej swojej właścicielce krowy. Kiedyś bawoły służyły lokalnej ludności do obrabiania poletek ryżowych. Dzisiaj część ludzi używa już małych urządzeń spalinowych, a zwierzęta trzyma z sentymentu, podobnie jak w Polsce konie na Podlasiu.



foto. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 14. Lokalna kobieta troszcząca się o swoje zwierzę.

Kiedy rano wychodziliśmy, Mimi stwierdziła, że dzisiaj na trasie spotkamy dużo więcej turystów niż dzień wcześniej i tak rzeczywiście było. Były to z reguły pary lub pojedynczy turyści, jak w moim przypadku.







fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcia od 15 do 19. Widoki z drugiego dnia wycieczki.

Schodząc z jednego ze stoków, nie uniknąłem poślizgnięcia i cały tyłek miałem w błocie. Pagórki, po których chodziliśmy, nie były skalne, ale pokryte czymś, co przypominało glinę i z czego Wietnamczycy budują ryżowe tarasy. Jakiś czas później doszliśmy do bardzo

urokliwego wodospadu, gdzie przy okazji mogłem się umyć. Niestety niewiele się to zdało, ponieważ jakiś czas później kolejny raz się poślizgnąłem i wdepnąłem w poletko ryżowe całym butem. W konsekwencji przez kolejnych 5 godzin chodziłem w mokrych butach. Ciekawe jest to, że Mimi szła w białych butach sportowych i po całym dniu nie miała śladów błota. Wynika to z tego, że żyjąc w tych rejonach całe życie, wie, jak się poruszać i ma lepszą równowagę.



Zdjęcie 20. Jeden z potoków.

Kiedy weszliśmy w teren bardziej zabudowany, miałem okazję zobaczyć bardzo prymitywny, ale skuteczny i ekologiczny młyn wodny. W innym miejscu małą elektrownię wodną, produkującą energię dla jednej rodziny. W dwóch domach miałem okazję zobaczyć, jak jest zwijana włóczka, jak jest suszona i farbowana. Po drodze zaczęła nas, oczywiście w sposób bardzo przyjacielski, wiele osób. Spotkałem też kilka grup turystów m.in. z Indii, Francji czy Norwegii. W jednym z domów spotkaliśmy znajomą staruszkę, która pozwoliła mi obejrzeć dom, porobić zdjęcia. W pewnym momencie Mimi pokazała mi stary nóż i powiedziała, że służy on do wielu czynności. Od lat jestem miłośnikiem oryginalnych noży z różnych regionów świata. Natychmiast zapytałem, czy mogę go kupić. Po chwili targowania nóż i drewniana pochwa były moje, a poziom satysfakcji był maksymalnie wysoki. Jakiś czas później

miałem okazję nagrać filmik, jak lokalna ludność używa zapomnianych już u nas krosen do produkcji materiału. Przypominam, że podstawą materiału jest jeden z gatunków konopi. Ciekawe, że do lat 30. XX w. była ona podstawą wielu produktów, ubrań, butów czy opon do samochodów. Dopiero wynalezienie plastiku w 1937 r. w USA zmieniło wszystko. Rozpętano negatywną kampanię, przez którą obecnie konopia utożsamiana jest głównie z narkotykami, ale na szczęście powoli się to zmienia. Jaki jest negatywny skutek produkcji plastiku, nikogo nie trzeba dzisiaj przekonywać.



Zdjęcie 21. Zakup noża.

W końcu dotarliśmy do trzech domów, z których ostatni należał do Mimi i jej męża. Po drodze obejrzałem domy jej rodziny, poznałem prawie wszystkich. Chwilę później poznałem także sympatycznego i skromnego męża Mimi, który był w trakcie przygotowywania obiadu dla nas. Oczywiście wiedziałem już wcześniej, że będę gościem Mimi i zjem u nich obiad. Dom Mimi był pierwszym, w którym widziałem normalną toaletę czy telewizor, stary, bo stary, ale jednak. Mimi szybko zdjęła swój tradycyjny strój i przejęła obowiązki gospodyni. Powiedziała przy okazji, że mogę wszędzie zaglądać i robić zdjęcia. Powiedziała też, że tym razem zanim poczęstuje nas lokalnym samogonem, zjemy porządny obiad.







fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcia od 22 do 27. Mimi i jej rodzina.

W czasie, kiedy ona wspólnie z mężem uwijała się pomiędzy kuchnią a paleniskiem, ja zaglądałem wszędzie, zadawałem pytania i oglądałem gospodarstwo Mimi. Bezpośrednio obok jej domu były położone pola ryżowe, miała też kaczki, świnkę wietnamską oraz budynek

dla bawołów. Dzieci w domu nie było, ponieważ jej syn zajmował się ich drugim domem, w którym prowadzili sklep.

Po jakimś czasie, kiedy usiedliśmy do stołu, pojawił się jej teść, później siostrzenica oraz sąsiadki. Widać było, że otwarty dom jest dla nich całkowicie normalną sprawą. Część ludzi tylko zaglądała, część dołączyła do obiadu. Siedzieliśmy sobie, rozmawialiśmy i piliśmy wino ryżowe. Co jakiś czas mąż lub teść odchodzili, aby zapalić tradycyjną fajkę. Po jakimś czasie pojawił się starszy sympatyczny pan, który jak się okazało, produkował te fajki. Nie byłbym sobą, gdybym jednej z tych fajek od niego nie kupił. Fajkę normalnie zalewa się częściowo wodą, wkłada odrobinę tabaki w mniejszy otwór, odpala i zaciąga powietrze przez duży otwór, aby utrzymać płomień. Nie wolno wciągać dymu do płuc, bo powoduje kaszel, o czym miałem okazję się przekonać. Generalnie cały proces to dwa-trzy wdechy i koniec palenia.



Zdjęcie 28. Kolejny udany zakup, fajka od dziadka męża Mimi, który wykonuje je własnoręcznie.

Chwilę później dwie z kobiet zaczęły mi wciskać swoje produkty, ale oczywiście nienachalnie. Ewidentnie widać, że Hmongowie mają smykałkę do interesu. Dodatkowo, w przeciwieństwie do Wietnamczyków, całkiem niezłe mówią po angielsku, ale głównie kobiety.

Rozmawialiśmy też na temat planów Mimi w zakresie rozbudowy turystycznego biznesu. Stwierdziła, że nie ma planów sprzedaży swojej ziemi, bo chce zbudować dom dla turystów. Wyraziłem opinię, że z takim widokiem na dolinę nie będzie miała problemów z chętnymi. W rzeczywistości wychodząc z domu, ma ona wspaniały widok na całą dolinę. W miejscu, gdzie znajduje się jej dom, nie przebiega żadna droga, a jej dom jest ostatni w ciągu domów. Co w konsekwencji daje wspaniałe warunki dla biznesu.

Był to kolejny dom, w który miałem okazję przebywać, ale w żadnym nie byłem na strychu. Nie wytrzymałem i zapytałem, czy mogę tam zajrzeć. Dla Mimi nie było żadnego problemu. Na strychu miała worki z ryżem, koszyk z ryżem o wadze ok. 500 kg, trochę narzędzi i drewna. Coś, co wydało mi się nadzwyczaj mądre, to to, że bezpośrednio nad ogniskiem wisiły świńskie szynki. Krótko mówiąc, paląc w piecu, każdego dnia wędzili przy okazji mięso. Według niej niektóre części mięsa w ten sposób wędzone były nawet przez rok czy dwa. Po takim wędzeniu mięso musi się moczyć ok. dwa dni, aby nadawało się do spożycia.



Zdjęcie 29. Prymitywny młyn wodny.

Wracając, dyskutowaliśmy na temat turystyki. Według Mimi turyści z Hanoi nie chcą chodzić po górach. Przyjeżdżają na kilka dni, objeżdżają Sa Pa w specjalnych samochodach dla turystów i siedzą w restauracjach, zresztą podobnie jak w Polsce.









Zdjęcia od 30 do 37. Wiejskie widoki.

Dzień 8 (4.05.2022) – pomyłka w kalendarzu i wyjście w kierunku rzeki

3 maja kładąc się spać, byłem przekonany, że następnego dnia jadę o godz. 14 autobusem do Hanoi. Miałem nawet już kupione bilety. Rano wstałem i coś mi się wydawało, że w kalendarzu mam o jeden dzień za dużo, ponieważ z moich obliczeń wynikało, że mam dwie noce opłacone w moim pierwszym hotelu, a w kalendarzu miałem jeszcze trzy. Zadzwoiłem przez WhatsApp do menadżerki Sandy do Hanoi i potwierdziło się, że mam być dopiero następnego dnia. Była to dla mnie superinformacja, bo bardzo dobrze odpoczywało mi się na wsi. Musiałem tylko upewnić się u Lou, czy mogę zostać jeszcze jedną noc. Na szczęście nie było żadnego problemu, dodatkowo, jak się okazało później, dostałem zwrot za bilet. Nowy z kolei kupiła dla mnie Sandy.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 38. Pyszna kawa, mango i kokos.

Po śniadanku udałem się na samotny spacer po okolicach. Co rusz wchodziłem na jakiś pagórek i z niego schodziłem. Kiedy człowiek chodzi sam, dostrzega więcej szczegółów. Kilka osób spotkanych po drodze zaczęło mnie pytaniami, skąd jestem i jak się mam. Zrobiłem sobie krótką przerwę na rzekę, w znanej mi kawiarni. Kupiłem sobie podobnie jak dzień wcześniej kawkę, orzech kokosowy i pyszne mango. Po przerwie poszedłem dalej. W pewnym momencie z daleka zobaczyłem ścieżkę w kierunku pól ryżowych, która dawała mi szansę dojścia do rzeki, która to z kolei wpadała do lasu bambusowego. Przez jakiś czas musiałem iść po wałach poletek ryżowych, doszedłem w końcu do rzeki i szedłem jej brzegiem. Po drodze widziałem małe stado bawołów wypasane na granicach pól ryżowych.



Zdjęcie 39. Malownicza trasa wzdłuż rzeki.

W rzece było tak wiele dużych kamieni, że bez problemu mogłem kontynuować swój marsz samą rzeką. W oddali przy rzece dostrzegłem małe domki, prawdopodobnie była to jakaś baza dla turystów. Kiedy doszedłem na miejsce, zobaczyłem sześć domków, na dachu których rosła trawa i kwiaty. Przez chwilę chodziłem po tym małym ośrodku i myślałem, że nikogo tam nie ma. Po chwili pojawił się właściciel, który miał długie czarne włosy i bardziej wyglądał mi na

Japończyka niż Wietnamczyka. Miejsce nazywało się Utopia. W barze wisały bardzo ładne obrazy malowane na deskach oraz stały duże słoiki pełne jakiegoś płynu i zasypane jakimiś warzywami lub owocami. Zadałem kilka pytań, co to za miejsce i czy można je wynająć, ponieważ jest pięknie położone oraz co jest w tych słojach. Okazało się, że domki kosztują ok. 200 zł, nadają się dla jednej pary, nie ma żadnego internetu, aby ludzie odpoczęli. Natomiast w słoikach jest jakiś alkohol zalany małymi jabłkami lub kwiatami, dodatkowo mogłem się poczęstować i sprawdzić, jak to smakuje. Miejsce nazywa się bardzo wymownie Utopia. Ostatecznie zamówiłem sobie kawę i szklaneczkę zawartości jednego ze słoików.









Zdjęcia od 40 do 45. Widoki z samotnego zwiedzania okolic.



Zdjęcie 46. Restauracja z najlepszym salonem masażu w rejonie.

Kolejne trzy godziny upłynęły na pełnym relaksie. Patrzyłem na rzekę, słuchając jej szumu i patrzyłem na las bambusowy oraz dwóch rolników ojca z synem, którzy obrabiali swoje pola i co chwilę przekraczali rzekę, aby przynieść i myć fragmenty małej maszyny-kultywatora. Później zjadłem jeszcze smażone i smaczne bataty.

W związku z tym, że robiło się dość późno, udałem się w drogę powrotną. Idąc, postanowiłem, że zajrzę do najlepszego w okolicy salonu masażu. Po drodze miałem jeszcze okazję obserwować, jak dwa małżeństwa płuczą w rzece wyprodukowaną przez siebie włóczkę. Jakiś czas później siedziałem w drewnianej bani napełnionej czarną wodą i patrzyłem przez wielką szybę na góry, słuchając spokojnej muzyki. Po kąpieli oddałem się w ręce bardzo silnej pani, która spowodowała, że kilka razy odpłynąłem... Po masażu spokojnym krokiem udałem się do swojego miejsca noclegowego.

Dzień 9 (5.05.2022) – Sa Pa i powrót do Hanoi

W tym dniu w planach miałem wyjazd do Sa Pa i zrobienie kilku zdjęć z tego miasta oraz transport do Hanoi. Autobus miałem zaplanowany na godz. 16. Rano zjadłem śniadanie, opisałem trochę wcześniejsze dni i pojechałem taksówką, zamówioną przez właściciela, do Sa Pa. Po drodze idąc jeszcze do taksówki, spotkałem Mimi, która szła w góry z dwoma turystkami, wyglądającymi na Europejki. W Sa Pa zostawiłem wszystkie rzeczy w drugim hotelu Loi o nazwie Hunter Lodge. Bagaże zostawiłem pod opieką jego mamy.

Przez jakieś trzy godziny chodziłem po Sa Pa i robiłem zdjęcia. Miasto w żaden sposób nie wyglądało na miasto stereotypowego, komunistycznego Wietnamu. Sa Pa jest dużo większe i nowocześniejsze niż np. Zakopane. W mieście są setki restauracji i kawiarni, typowych niedrogich wietnamskich barów ulicznych, piękne parki, bardzo ładne targowisko, zadbane kamienice oraz duże jezioro w centrum miasta.

Po jakimś czasie zgłódniałem i zamówiłem w jednym z typowo wietnamskich barów rybę. Pan przyniósł wielką rybę, ale powiedziałem, że zjem tylko połowę. Ryba okazała się bardzo dobra. Dla zdrowotności popijałem czymś, co widziałem w barze w wielkim słoiku z jakimiś owocami. Pan dla towarzystwa wypił ze mną jeden łyżeczek. Dla otwartego i kontaktowego Polaka, do jakich się zaliczam, Wietnam jest absolutnie świetnym krajem na wyjazd turystyczny. Ludzie są tutaj bardzo towarzyscy. Jedzenie i alkohol bardzo smaczne. Po obiedzie ruszyłem w dalszy obchód miasta.



fol. Krzysztof Danielewicz



fol. Krzysztof Danielewicz









fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcia od 47 do 56. Sa Pa.

Spacerując nad jeziorem, zaczepiła mnie jakaś „zwariowana” celebrytka i przez chwilę musiałem robić za jej operatora kamery. Co rusz kazała mi robić jakieś ujęcia, nie mówiąc ani słowa po angielsku. W międzyczasie sprawdzała, co robi jej konkurencja, wyglądało to kuriozalnie. Chwilę później zaczepiła mnie jedna z handlarek z Czarnych Hmongów, do której po chwili dołączyły kolejne. W pewnym momencie siedziałem na ławeczce, a wokół mnie stało sześć handlarek, które próbowały mnie przekonać do zakupów. W miarę jak udowaśniałem, że wszystko, co potrzebuję, już mam, odpuszczały.



fot. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 57. Sympatyczne handlarki w Sa Pa.

Rozmawialiśmy też o tym, w jakiej miejscowości byłem i co widziałem. Okazało się, że jedna z nich pochodzi z TaVan – wsi, w której spędziłem cztery noclegi. Po jakimś czasie postanowiłem iść w swoim kierunku, ale trzy kobiety cały czas mnie nie odstępowały. W związku z tym, że całkiem nieźle mówiły po angielsku, mieliśmy duży ubaw. Generalnie skończyło się tym, że zaprosiłem je na kawę do kawiarni. Najbystrzejsza była najmłodsza, która nosiła dziecko na plecach. Stwierdziła, że ona chce „koko cafe”, a dwie pozostałe zamówiły czekoladę. Po reakcji gości kawiarni jasno było widać, że obecność handlarek w tradycyjnych strojach w kawiarni to nie lada wydarzenie, a z łysym Europejczykiem tym bardziej.

W kawiarni odpuściły sobie handel i zesłaliśmy na tematy bardziej przyziemne, jak zarobki czy kto rządzi u nich w domu. Tu oczywiście zdania były podzielone. Młoda stwierdziła, że u niej ona rządzi, a jedna ze starszych, że kłóci się ze swoim mężem. Stwierdziły, że czasami nic nie zarabiają, nie są za bogate i nawet nie mają toalety w domu. Niestety mój czas mijał i musiałem szybko udać się po swoje bagaże i jechać na autobus. Na szczęście dobrze zapamiętałem trasę powrotną.



Zdjęcie 58. Ostatnia kawa w Sa Pa w przemyśłym towarzystwie.

Kiedy wróciłem po bagaże, chwilę później przyjechał Loi z synkiem i jego żoną San, którą do tej pory znałem tylko z korespondencji telefonicznej i z którą załatwiałem kilka już tematów. Oboje wracali od okulisty, ponieważ synek ma problem z jednym z oczu. Okazało się, że Loi oddał mi kasę za autobus, który odwołałem, myląc się co do terminów. Na przystanek odwozła mnie taksówka zamówiona przez Loi. Na miejscu zostałem szybko odhaczony na liście i okazało się, że nie muszę płacić za bilet, chociaż Sandy z Hanoi powiedziała, że mam zapłacić w biurze firmy. Za bilet ostatecznie zapłaciłem dwa dni później. Czekaając na autobus, piłem kawę i rozmawiałem z jednym z Wietnamczyków z dredami, co widziałem w Wietnamie pierwszy raz.

Po chwili inny sympatyczny i mówiący po angielsku Wietnamczyk zabrał nas do autobusu. Podobnie jak wcześniej miałem to samo miejsce A1 w autobusie, tj. bezpośrednio za kierowcą. W trakcie sześciogodzinnej podróży planowane były dwa przystanki. Na drugim z nich, jak to zawsze w moim przypadku, zaczepił mnie jeden z Wietnamczyków i stwierdził, że mieszkał osiem lat w Słowacji. Mówił do mnie po słowacku. Okazało się, że jest synem właścicielki całego parkingu i punktów handlowych, zresztą samą właścicielkę też miałem okazję poznać. Na miejscu zjadłem też szybką kolację za naprawdę nieduże pieniądze, z czego porcja była nie do przejedzenia. Po drodze popracowałem trochę na laptopie i opisałem swoje kolejne przygody. Po drodze widziałem jeszcze, że Sandy z mojego hotelu pisała na WhatsApp, czy jadę zgodnie z planem. W Hanoi poprosiłem Wietnamczyka z dredami o zamówienie dla mnie taksówki i dojechałem szybko i sprawnie do hotelu. W związku z tym, że była już godzina 22, nie było sensu iść na zwiedzanie miasta.

Dzień 10 (6.05.2022) – ostatnie zwiedzanie Hanoi

Tego dnia nie miałem żadnych innych planów, jak pochodzić po mieście i zrobić pamiątkowe zakupy. Ceny w Hanoi są bardzo różne. W jednym sklepie za magnes chcą 30 tys. dongów, a za ten sam w bocznej uliczce w odległości 100 metrów już 7-10 tys. dongów. Dla miłośników różnego rodzaju suvenirów, pamiątek czy rękodzieła Hanoi jest rajem zakupowym – dotyczy to zarówno jakości, jak i różnorodności. Oczywiście należy się targować, ale miałem okazję być w sklepie z produktami bardzo wysokiej jakości, gdzie nie było żadnej mowy o targowaniu. Niestety kolejny raz pogoda nie była perfekcyjna. Brakowało czystego światła, przez co zdjęcia nie były najwyższej jakości.

Wieczorem wybrałem się na masaż polecany mi przez poznanego w trakcie jednej z wycieczek Garego z Honkongu. Musiałem wziąć taksówkę. Kiedy pokazałem adres pani w hotelu, natychmiast potwierdziła jakość tego miejsca. Zarezerwowała też dla mnie godzinę rozpoczęcia masażu. Kiedy dotarłem na miejsce, nie było tam typowego miłego powitania, jak to ma zwykle miejsce. Wchodziło się na duży dziedziniec czegoś, co bardziej przypominało nasze sanatorium NFZ. Wewnątrz siedział pan, który wskazał mi szafę i klapki. Kazał zdjąć buty i je zostawić, założyć klapki i iść dalej. Była tak też swego rodzaju stołówka-kawiarnia, gdzie można było zjeść i się czegoś napić. Kolejny pan – wcale nie miłszy – pokazał mi tylko rozpiskę masażu, od razu sugerując 120 min. dla VIP za 600 tys. dongów, czyli jakieś 120 zł. Nie dyskutując dużo, poszedłem za młodym chłopakiem na pierwsze piętro. Idąc, po drodze widziałem wiele gabinetów do masażu. Po chwili wskazał mi mój gabinet, w którym znajdowało się łóżko do

masażu, drewniana bania, wanna do hydromasażu oraz szklana kabina, która, jak się później okazało, była minisauną. Kazano mi się rozebrać, założyć jedną z dwóch par bokserów i wejść do bani, którą wcześniej szybko zalano ciemną wodą. Pomyślałem sobie, że szkoda, że nie kobieta będzie mnie masowała, ale może facet ma więcej siły. Cały proces wyglądał następująco: najpierw kilka minut w drewnianej bani, później kilka minut w wannie z hydromasażem, a następnie na dłuższy okres do sauny, przy czym nogi trzymałem w plastikowym wiaderku z wodą i ziołami. Po wszystkim musiałem się wytrzeć, zmienić szorty i położyć na łóżko. Na szczęście po całym tym procesie, mycia i rozgrzewania przyszła masażyстка i zrobiła jeden z lepszych masażów, jakie miałem w życiu. Co jakiś czas nakładała gorące ręczniki na różne części ciała. Była nadzwyczaj silna i używała całej wachlarz technik, których nigdy wcześniej nie widziałem. Nie ukrywam, że nie był to raczej masaż relaksacyjny, a porządny masaż sportowy, który miał usprawnić główne mięśnie i kręgosłup.

Wieczorem, na pożegnanie z Wietnamem, spędziłem kilka godzin w mojej ulubionej kawiarni na torach Spot 09. Właśnie z tego powodu, że kawiarnia znajdowała przy torach, nie było tam żadnych skuterów i panował spokój. Tego wieczora było tam dużo więcej młodych ludzi o europejskich rysach twarzy.



fot. Krzysztof Danielewicz















fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz



Zdjęcia od 59 do 73. Zakamarki i życie Hanoi.

Na zakończenie miałem niezbyt przyjemną przygodę już na lotnisku, kiedy pani obsługująca mój lot zażądała zważenia bagażu podręcznego, który był o kilka kilogramów za ciężki. Na nic nie zdały się moje tłumaczenia, że bagaż główny jest o kilka kilogramów lżejszy, niż może być. Pierwszy raz coś takiego mi się przydarzyło. Ostatecznie dwa razy musiałem się przepakować,

wyrzucić do kosza kilka rzeczy, w tym dobre trunki... Nauczka na przyszłość, aby jednak brać dużo większą walizkę na takie wyjazdy, ponieważ zawsze jest pokusa, aby przywieźć wiele pamiątek, które mimo niedużej wagi zajmują jednak dużo miejsca.

Podsumowując: Wietnam to niesamowity i różnorodny kraj, do którego na pewno wrócę. Następnym razem muszę jednak samodzielnie pojeździć po całym kraju i zobaczyć więcej natury, zwierząt i miejsc mniej turystycznych.